

GLÓŚ LITERACKI

DWUTYGODNIK

15

75 GROSZY.

Rok 1.

WARSZAWA, 1—15 września

R. 1928

RUTYNA

POSTĘP

Powojenna literatura polska od rachitycznej legendy wielkiego powsinogi, aż do wiejskiego kościółka rozdygotanej sygnaturki, balansująca werbalnie i w samocieniu, złożyła już niejednokrotnie dowody swej najczystszej ideologicznej próżni, by śladem Régner'ów, a chociażby i kontraktów Dereme'a, nie zastrzec się najspokojniej, że w gmachu nowopowstałego państwa nie zdobyła się ona na wyważenie ani jednych skromnych drzwi, przez które mógłby przejść z od zewnątrz świeży i tak konieczny powiew społecznej wiosny. — Ale na szczęście — nie o przeszłość nam tu chodzi. Stoimy wobec zagadnień nowych, przewalających się procesów psychicznych, nad którymi radzić nam wypadło wspólnie na jednym i tym samym śmietniku. Stoimy wobec prometeizmu socjalnego w twórczości; wobec problemów nawskroś rewolucyjnych, których ster i losy najbliższej egzystencji wzięło w swe dłonie pewnie i śmiało pokolenie twórców nadchodzących. Przeczymy więc tedy pytania: — Czy w perspektywie minionej epoki rewolucjonizm ten może i powinien zacieżyć na pomiarach ideologicznego racjonalizmu? — Czy nie jest on wypadkową wszystkich palących a tak głębokich przemian w ogólnej strukturze powojennego porządku? — Czy poza doskonałością, dźwiękiem i szlachetnym patosem wszystkich przedniepodległościowych dzieł i heroicznych zmagania z brutalnym najeźdźcą — literatura, jako uzurpatorka władzy wychowawczej stanęła na wysokości świętego zadania wobec jej własnego, państwowo odrodzonego społeczeństwa?... W filozoficznej dyskusji, nabrzmiałej posoką gęstej, doktrynerskiej cieczy rutyniarstwa, bez szkody dla walących się, obmierzłych metod racjonalizmu i wszelakiego wszetecznictwa — padały raz po raz najwyższe delickie wyrocznie astronomów postępu; — w ogniu „szlachetnych nieporozumień” wyrastała jak koszmarny poezja sentymentu dla robotnika, strojona w coraz to nowe, wygodne dla siebie i jakże pełne pstrokaczyny fraki i figusy. Ten harmider krytyczny bez oparcia, sięgający po swe luźne epichierematy — oczywiście „gwoździ” za doświadczenia rutyni — aż do źródeł Lenina, Marksa czy Rousseau — zostawmy na uboczu. Zajmijmy się jego narcyzami. Tu dopiero i niewątpliwie spotkamy się z całą banalnością i sofizmem rzekomej powagi.

Tak więc na arenę starć padł niewzruszalny domorosły pewnik, zaprzeczający istnieniu jakiegokolwiek ważkiej kultury proletariackiej, w przeciwieństwie do wysokiego poziomu szczebla, na jakim stanęła kultura klasy posiadającej. Jest to podobno reliktów smutnych doświadczeń ideowych Lenina. — Pod ciężarem rzeczoności pewnika, niby najświętszym memento — bieg młodej myśli twórczej miał poddać się nagle i gruntownej reorganizacji — co to znaczy? — oto ni mniej ni więcej świadczyłoby o całej bezsensowności i zgola całej banalności wystąpienia problemów społecznych w poezji. — Jakże to się stało, że wysoki, dostojny umysł człowieka „klasy posiadającej”, tak nieuczciwie i nieszlachetnie obnażył spokojnego wyrobnika z jego duchowej przyodziewki? Skąd ta apodyktyczność twierdzeń, ta zamasztyta odwaga sądu? Ścieśnijmy leninowski pogląd na kulturę. Ścieśnijmy nawet pojęcie samej kultury. Jakież to akcesoria składają się na to tajemnicze oblicze doskonałości najwyższych człowieka? Jakże są jej przejawy w bezpośrednim zetknięciu z życiem? — Szybki postęp cywilizacji i uzależnienie od niej w równym tempie spadek wartości etycznych (wojna, mordercy) — być może, zatarł w nas poczucie różnicy jaka dzieli pojęcie cywilizacji w znaczeniu wiedzy nabytej, intelektualnej, od pojęcia kultury, jako immanentnej części organizmu duchowego każ-

dej społecznej jednostki. Ale to — to nie upowaznia nas jeszcze do zbytowego temperamentu z jakim wypowiadamy swój sąd o ludziach z tamtej strony trybuny. Nie oglądając się na suchą teorię Leninów, ich przesłankowych pewników — możemy tem pewnie stwierdzić, że właśnie w rezultacie koniecznej walki samozachowawczej, wytworzony przez warunki, sposoby i aspiracje bytu — nastąpił przełomowy podział warstw w społeczeństwach na dwie urogie sobie grupy; te zaś o przeciętnych, równych sobie walorach kulturalnych: proletariata i burżuazji. Ugrupowanie to nie zaczęło w żadnym wypadku podstawione przypuszczenia, że nastąpiło ono na skutek zderzenia się dwóch nierównych sobie potęg dążnościowych — z których jedna, masowo szersza ulec miała akrobatycznej perwersji drugiej. Głębokie doświadczenie życiowe obok stężonej, ścisłej obserwacji życia robotniczego wydaje mi się najbardziej krzyżującym i bodajże jedynym protestem przeciwko kwestjonowaniu jego właściwości kulturalnych. Mowa tu przecież o zdolnościach intuicyjnych, o sposobie ustosunkowania się do zagadnień religijnych i społecznych — o wyraz swojego „ja” w ogłaszającej, ciężkiej atmosferze, idącej cywilizacji. — Jeżeli mieszkańiec Indii czy Madagaskaru, poza zarobkową pracą swoją na chleb codzienny, analfabeta, wyrzucony poza nawias wszelkiej orientacji przeciętnego inteligenta — spędza czas na bez troskiej, spokojnej równowadze ducha, ciesząc się z pełnego żołądka i chwały swego Buddy czy Siżiwy, z zaspokożenia potrzeb rodzinnych, z wystarczalności warunków życiowych i, bynajmniej bez zazdrości spenetrujący cherlston wielkiego cywilizatora, owego dla wygody zmieniającego religię i na zawołanie najświętsze swoje przekonania — to, czy momenty te, zawierające najgłębszą treść istotną — treść stosunku do życia — nie obrażają dostatecznie ową prostotę, ów sentyment, ów podziw, ów bogactwo i artyzm wielkiej cnoty człowieka? Czy cechy te nie są realnym, najoczywistszym problemem w dochodzeniu do pojęcia kultury? Podkreślamy więc to: *Kultura istnieje; ma ją robotnik opętany bolszewizmem i ma ją spokojny plantator marksyzmu.* — Zachodzą natomiast zjawiska zgola niedostrzeżone. Istnieje głód i nieokrzesany popęd do życia „wyższego”, do tych warunków bytowania, jakie w drodze konjunktur i „urodzenia” zyskał przeciętny dyrektor fabryki czy banku. Dosadne spostrzeżenie tych zjawisk i wyraz głębokiej ich przyczyny określił w sposób mistrzowski p. Schürer: „Proletariat istnieje tylko jako przeciwieństwo burżuazji i razem z nią powinien ostatecznie zniknąć, — chodzi przecież tylko o to, by u mety wszelkich rewolucyj i przewrotów społecznych stanęła ludzkość, poprzez te przewroty wyzwolona z ucisku indywidualnego wyzysku pracy. Z tych codziennych, oderwanych lub masowych zmagania, z tej walki powszedniej o wyższy ład społeczny, o sprawiedliwy podział pracy i zysków, pragną pisarze rewolucyjni wydobyć potencjalnie w tych walkach zawartą poezję, pragną wszystkim, co ich mowę zrozumieją, objaśnić patos piękna i sprawiedliwości tych epokowych zdarzeń.” A potem: „Apoteozowanie dzisiejszego proletariatusa, jako człowieka przyszłości, jest jedynie wybiegiem taktycznym w walce z kapitalizmem, ma na celu rozbudzenie samowystarczalności klasowej — z tego jednak intelektualista winien zdawać sobie sprawę.” — I oto pierwsza, wysoka odpowiedź na pytanie rzucone na wstępie. *Poezja jako forma klasyczna, jako broń w walce o „wyższy ład społeczny” jest rzecznikiem i wskaźnikiem tych nierównomiernie nałożonych obowiązków i przywilejów życiowych w ogólnym układzie warstw społecznych, wobec których w imię powszechnego pokoju i brata-*

nia się — wszystkie pozostałe, a obliczone na efekt „weltszmercu” i czarnoksięstwa elukubracje poetyckie zejść muszą do roli drugorzędnej. Stąd niekłamany i trzeźwy racjonalizm postulatów, wysuwanych przez młodzież w twórczości. Tu też głębokie wyczucie i dojrzały artyzm intelektu, który nad barometrem ideologicznym powstającej epoki zgrypował swój oddech wielkiego ciśnienia.

Rzeczą najbardziej doniosłą, wynikającą ze stanowiska praktycznego i sposobu wcielania w życie poruszone zagadnienia i rozwiązania — jest jednak sprawa dostępu tych poezji do rąk robotnika. Sprawa objęcia jego umysłu: trafienia w krąg jego zainteresowań.

Przepaść, jaka dzieli go od poety czy powieściopisarza, nie ścieśni się i nie zbliży go do książkowego świata tak znowu prędko jak życzą to sobie pewne entuzjastyczne jednostki. Dość stwierdzić, że w olbrzymiej ilości wypadków, pozbawiając on jest minimum środków do prymitywnego, ludzkiego zagospodarowania się. Przesypia czas wolny od pracy w obmierzłych i zgnilych prostokątach piwnic i suteryn. W takich warunkach podsuwanie mu książki i nastawianie przewrażliwionych uczuć jego, na działanie piękna — jest jednak zdecydowanym nonsensem. Trzeba umieć go wyprowadzić; trzeba umieć dostosować się na imprecyzach literackich do poziomu jego prostego myślenia. Trzeba „...elementy i finezje artystyczne literatury rewolucyjnej, dla intelektualistów tylko zrozumiałej, przekuć na słowa proste i piękne, dla robotnika dostępne” — mówi p. Schürer. Z rozpaczki bowiem może powstać bunt”. — — — Na dalekim wschodzie kultu pracy i jej czarnego sankjultu rewolucjonizm społeczny obrócił podszewkę do góry system imperjalistyczno-niewolniczy. Nie zmieniło się więc nic. Na tolstojowskim dziedzińcu rozpacza ten sam głodny muzyk, bezimienny i swarliwy, który miał dość już ludwicyzmu i salonowego chamstwa Carskiego Sioła, więjącego równie dobrze z pałaców rosyjskich Brantów. Nastąpił więc przewrót na skorupie zewnętrznej społeczeństwa — nie zaś w organizmie wewnętrznego ładu. Oczywiście — wysoka rola odegrała tu demagogia i niezwykle oportunistyczny przywódca. Literatura i życie — o tak! Pobiegły one dwoma korytami. A przecież nie tak dawno jeszcze przed wojną, jak padły znamienne słowa wielkiego poety niemieckiego, Hugo von Hofmannsthal'a: „Jeżeli w pracowniach życie odrębne przybiera kształty i jeżeli dzięki szczególnemu współżyciu, lub szczególnemu osamotnieniu ludzi, życie to jakiś nowy posiada rytm; jeżeli w pracowniach tych jednostki lub ogół stoją w jakimś odrębnym stosunku do natury; jeżeli szczególne padają na nich światła; jeżeli niewyczerpana symboliczność materji rzuca na ludzi nowe, niespodziewane cienie i błyski, wówczas i poeci rzucają się na tę nową rzecz, na tę przedzę rzeczy, rzucają się dzięki głębokiej namietności, pracując ich do wcielenia każdej nowej rzeczy w całość, którą noszą w sobie, dzięki niepoahamowanej namietności do układania wszystkiego, co jest, w odpowiedni wzajemny ład i stosunek.”

Czyżby — poezja rosyjska wykazała aż tyle ignorancji i tyle braku zainteresowania się problemami społecznymi? — Nie obchodzi to nas. Idziemy drogą wysiłku, drogą świętego obowiązku, na które pchnęła nas konieczność szukania prawdy i sprawiedliwości dziejowej. Idziemy przy akompaniamencie słów: „Miłośnikiem jest cierpień i miłośnikiem szczęścia — poeta. Zachwycony wśród wszelkich miast i zachwycony w samotni. Namietny podziwiał rzeczy, które są od początku i tych, które są od dzisiaj.”

J. P.

ANDRZEJ WOLICA

PIEKARZE

Gdy miasto zasypia warcząc, jak zbite
szczenie,
Miesimy kwaśny zaczyn głodnym przestrzeniom.

Do twardych dzieł sypimy siwą mękę —
Chleb w nasze myśli wrasta rumianym
pakiem.

Pachną dojrzałym łanem bochny gorące
Jak wielkie, świecące biedakom pszenne
słońca.

Bezsensowność roboczej nocy szumiąca w głowie,
Wykwitnie w cierpki gorączką twardy razowiec.

Szerokie, spękane ręce rozpala piec,
Ktoś serce na złoty, pszenny bochen
upieczę.

Ktoś serce z piersi wyszarpię w skromnym
trudzie
I rozda pajdami wielkimi głodnym
ludziom.

ALEKSANDER MALISZEWSKI

WIERZ PISANY W NOCY

Oślepiiony migotem dni,
jak okulary — noce na oczy nakładam —
Nad głową tkwi
księżyc — wiszący jałagan.

O, nie gróż! — spadnij nareszcie i chłapij
przez łeb, aż tułów w drgawkach się potoczy
niechaj noc zaśnie —
zasną i oczy —

Jutro —
zwyczajne jutro —
przyjść musi —
kamień, rąbany siekierą godzin —
i znowu zegar na przeszłość przekruszy
wiersz, który z sercem zrasta się codzien.

IRYON

PRZEMIANY

P. Janinie Wicińskiej.

Pośród dymiących fabryk nad mapą świata
[zgarbieni,
W brzask obłych wschodów idziemy, rytmicznym ciężkim pochodem —
Jak wielka stokrotna armia — jak wiel-
[kiej krzywdy rumieniec
Pod prąd niesiemy w sercach — krzyk
[prawdy żywiczny wieniec.

Wiążą się, tężą dłonie, w zwarty, spizowy
[oskard;
Podnoszą bary szerokie; dwuzagwią typią
[żrenice,
Zielonym gwarem gniewu prężą się światła
[ulice —
I bryzga krwią wyzwolony, święty szarodzień: Wiosna.

„My tu na płótnie dziejów! My tu na masz-
[cie wydarzeń!

„My zbuntowane i głodne, bezsensne, zmę-
[czone twarze!”

Jazgot swarliwej krtani sztylętem w niebo
[cisnąć...

O jakże wyżej nad niebo! o jakże głębiej
[niż w ciszę!

Pod fanfarami przemian - twierdź i złośli-
[wych przygód,

Rytmiczna, zwykła praca, zwykły, roboczy
[codzień

Szedł krew zatrutą potem oblitą runią
[wylać —

Szedł jarzmo w ludzkość przekuć męką
[idących godzin.

O PROZĘ PROLETARJACKĄ

Tyle się dzisiaj słyszy hasel, mniej lub więcej wartych, aktualnych i wychodzących już z mody, tyle rozwija się sztandarów i sztandarków pomalowanych, postrzępionych „ezoterycznym estetyzmem”, „miłością sztuki jako takiej”, tanim narodowym sentymencikiem, sportową „błagą” (tak zwaną tężyzną narodową), nie mówiąc już o jednolitych programach „luministycznych”, o najbardziej opłacalnym (jeszcze jak opłacalnym) „slektyzmie”, o obronie „narodowej” (!) sztuki przez różne zaśnieżone, brzydko pachnące tygodniki.

Mnożą się pisma chorujące na bezpłodność. Snobizm pisarski rozwiłmożił się na dobre, utwierdził się w zdobytych twierdzeniach wydawniczych. „Rozroili” się na całą Polskę masę tandetnych przekładów i wagonowej literatury.

Dwudziesty wiek — wiek reklamy! (Śmiech w Rosji sowieckiej — to też książki te robią wstrząsające wrażenie) — bez komentarzy.

Dużo mówi się ostatnio o poezji proletarjackiej, o idei społecznej w literaturze, o przygotowaniu dla robotnika „odpowiedniej strawy duchowej”.

Mówi się o tem bardzo dużo. Niemniej się o tem pisze.

Tworzy się grupy literackie, mające „społeczny kierunek”. Recytuje się dobrze, lub mniej dobrze wiersze. Tak, to wszystko potrzebne, bardzo potrzebne. Ale co dalej? Czy przeczyta nasze wiersze jeden robotnik? Czy zadowolnią go one? Czy nie są to raczej inteligentno-snobistyczne koziołki, które wyczytamy wszyscy, szukając nowych sposobów wypowiedzenia się.

Pisał kilka lat temu Jarosław Janowski o tętniącym morzu prozy polskiej. Szlachetny, naiwny entuzjazm. Nie podejrzałem go, że myślał wtedy o tych Marcewskich, Zarzyckich i im podobnych, którymi zalewają nas pewne zakłady wydawnicze.

Nie o tę prozę nam idzie. A gdzie mamy inną. Widzimy gdzieś tam świetne walory stylowe. I cóż? Przyjrzyjmy się ostatnim powieściom. Czy nie jest to topienie się w tak bardzo płytkiej wodzie? Przysłowiowe chowanie głowy w piasek?

Mortkowiczówna. (Gorycz wiośnianna). Zdolności opisowe. Znaczna spostrzegawczość. Chwilami szczerość nawet. I cóż? Co z tego robi autorka? Mdle, chwilami rażące nawet powieści, które gdyby nie niezarta świeżość i dobra rzemieślnicza konstrukcja, nie moglibyśmy czytać. Problemy palące, warte wnikięcia, swobodnego bądź co bądź naświetlania, głodzi się delikatnie rączką. Zgoła niepotrzebnie natomiast rozśpiewana jest patetycznie „epopeja bohaterstwa i męczeństwa”.

Autorka pasuje w myśl recepty pewnego doskonałego zresztą prozatora, który wyraził się niedawno: Idea — piszcze Panowie o Legionach. Tak Szanowny Panie B., ale ostatecznie literatura, to nie Blok. I są ostatecznie rzeczy ważniejsze.

Otóż to. Te rzeczy ważniejsze. Jeżeli „literatura ma być odzwierciedleniem życia we wszystkich jego przejawach”, jak chcą niektórzy, czemu jesteśmy ciągle okłamywani?

Czemu zamiast naistotniejszej prawdy życiowej, karmi się nas sensacją. Świadomym lub nieświadomym fałszem? Czy wystarczy autorowi poważnie traktującemu swą pracę fakt, że jest czy ostatecznie bywają różnego rodzaju ambicje. Ludzie, widzący w pracy twórczej cel, prze-

kracający sferę domorosłego snobizmu i taniego poklasku i bezkrytycznej publiczności, muszą zwrócić się po materiał twórczy, nie do własnych, egotycznie-naiwnych nastrojków, a do istotnego życia, płynącego tuż obok.

Nie chodzi o fanfaronadę, o napuszoną hasel, o maskę firmową.

Pisanie o nędzy robotnika wtedy, kiedy nie ma się o tej nędzy najmniejszego pojęcia, da w najlepszym razie utwory konstrukcyjnie dobre, ale pomimo wszystko, pachnące ramotą. Nie mamy bynajmniej dawać recept jak i o czym trzeba pisać. To należy tylko do twórczości. Są jednak okresy w życiu społeczeństw, kiedy literatura nie jest absolutnie odbiciem prądów i poszukiwań ludzkich. Idzie sobie samopas.

I to jest zarówno niebezpieczne dla literatury, jak i dla społeczeństwa, które taka literatura reprezentuje.

W młodej, dzisiejszej Polsce, gdzie nagromadziło się tysiące ważnych problemów społecznych, nierozwiązanych, palących zagadnień społecznych, gdzie dzień każdy jest tworzeniem czegoś, gdzie jest literatura, która porusza te sprawy. Nieliczne pojedyncze tomy (Strug) przeważnie pomijane milczeniem.

Trzeba było tytanicznego wykrzyku „Przedwiośnia”, żeby rozruszać trochę stęchlawe bagienko literatury wyzwolonej Polski.

I cóż? Cóż Panowie Bandrowscy, Iwaszkiewicz i consortes? Czy Panowie stracili oddech i cel teraz, kiedy Polska jest już zdobyta i wyzwolona. Kiedy Legenda bohaterstwa musi bądź co bądź przejść do historii. Czy nie wstydzą się Panowie własnego milczenia, wobec zagadnienia ośmiodziesięcioletniego dnia pracy, zabezpieczeń emerytalnych, pracy małoletnich wreszcie? Czyżby nie były to dostatecznie ważne i wielkie tematy? Czy nie jest nieuczciwością wobec społeczeństwa, z którego Panowie wyszli, iż zajmuje ono tak mało miejsca w twórczości Panów.

Zaprawdę jedna książeczka Ostrowskiego (Obok życia) jest więcej warta społecznie od wielu tomów uznanych i wielkich.

I cóż? Życie sobie, a panowie literaci sobie. Czytając wiele powieści zdaje się nam, że niema wcale walki klas, wobec której trzeba przecie u licha zająć jakieś stanowisko. Że niema nędzy społecznej, wyzysku, bezrobocia, że żyjemy w oświeconej oranżerii i otacza nas zewsząd atmosfera „uduchowienia”.

Za pozwoleniem. A wszy we wszystkich przytulach, a głód w rodzinach niższych funkcjonariuszy państwowych, a sądy dla nieletnich, a z dnia na dzień powiększający się procent pod rzutków.

Czy to wszystko dzieje się gdzieś na innej planecie, i czy nie jest najważniejszym lekarstwem poznanie tego. „Chłopi” Reymonta są najbardziej proletarjacką powieścią polską, jaką znam. I cóż wobec tej naprawde nieśmiertelnej książki, znaczy sienkiewiczowski patryjotyzm? Cóż znaczą cele narodowe, wobec celów ludzkich? Cóż znaczą wymalowane pstrokaczki barwnych nastrojów, powieści Panów Ossendowskich i Grąbczewskich.

To wszystko jest potrzebne. Bezwzględnie. To wszystko jest może nawet konieczne. Nikt o tem nie wątpi. Ale to nie jest najważniejsze.

Nasza ciągle coś zapowiadająca młodzież literacka nie dała nam prawie nic jeszcze.

Jedynie pewne akordy w „Wieży Babel”. Ale

akordy to mało. Pełną pieśnią będzie prawdziwa powieść proletarjacka.

Nie tylko wierszem trzeba przemawiać do ludu. Wiersze piszą przeważnie ludzie młodzi, zapaleni. W momencie dojrzewania ludzie ci idą często drogą najmniejszego oporu. Nie to jest ważne, czyja to wina. Ważne jest w tym wypadku stwierdzenie faktu. Powieść jest tworem przeważnie bardziej skończonym i dojrzałym artysty. Jest rodzajem tworzącym poważniejszego. Działającego na dłuższą metę.

Ludzie w pewnym wieku... Rozumiemy. Trudno się Panom angażować. Panowie bardzoby chcieli, ale nie mogą... Nawet tak!

Nie apelujemy też wcale do Panów. Proszę. Piszcze sobie Panowie powieści, bierzcie honoraria, gryźcie się o fotele nieistniejącej jeszcze Akademii...

Nie o Panów nam chodzi.

Na szczęście istnieje jeszcze w Polsce pokolenie młodych. Pokolenie, które zawsze i we wszystkich czasach musi istnieć. Nie przesadzamy dzisiaj jacy ludzie z tego pokolenia wyrosną.

Wprawdzie stateczni i dojrzały snobi usiłują pokolenie to ugłaskać, nie tyle krzykiem i straszaniem, którego nikt się dziś nie boi, ile raczej protekcyjnym podawaniem rączek, klepaniem po ramieniu, lekką trucizną słodkich słówek. (Pan ma talent, oczywiście, naturalnie etc.).

Różni Panowie (doprawdy nie trzeba rzucić nazwisk i tak wszyscy wiedzą) specjaliści machery od młodości, redaktorzy starczo-niemowięcych

tygodników z mdłą śliną zakłamania błagają tam, gdzie spodziewają się znaleźć w młodych najsilniejszym, nieraz niezastąpionym filary, którymi będzie można uczynić zmuszane niebo własnej bezosobowości i bezpłodności.

O tak, Panowie z obozu Kończyców znają się na interesie. Zrażać sobie bądź co bądź nikogo nie trzeba. Kto wie, co może za 100 lat, dwa nastąpić. A tymczasem balansuje się zrecznie (Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek) i głodzi kieszeń.

Rozumiemy tych Panów. To jest ich fachem.

Powiedzmy jednak sobie prawdę, pomimo wszystko. *Dzień dzisiejszy wymaga pewnego zdecydowanego ustosunkowania się doń.* Nie wystarczy tu najlepsze choćby powieści pań Dąbrowskiej i Nałkowskiej. Zresztą te dwie najpoważniejsze z postaci kobiecych w literaturze polskiej zrozumiały to zdaje się dość dawno, i łączą obok nieprzeciętnych walorów pisarskich, zainteresowanie się kwestią społeczną i socjalną.

Ale poza nielicznymi wyjątkami idzie ta reszta. Legion oszalałych snobów, subtelnych poetek, przewrażliwionych, przerafinowanych buków. Rozwrzeszczane, rozpisane bractwo wzajemnej adoracji, uważające za swój nieodzowny obowiązek wypisania na swoim mizernym szyldziku słowa: Literatura.

Nasza, ciągle coś zapowiadająca młodzież literacka nie dała nam jeszcze nic:

Czekamy!

Andrzej Wolica.

BRANSTÄETTER JARZMA

Gebethner i Wolff — 1928. str. 37 + 351.

Karol Irzykowski, zaznaczył w artykule swoim „Literatura asocjalizm” (Robotnik”), że t. zw. poezja pracy opiewa narzędzie, milczy o człowieku. Jako przykłady cytuję nazwiska Brauna i Słobodnika. Dzisiaj możemy dodać jeszcze jedno: Brandstaetter.

„Jarzma” — to pochwała „pługów niezastąpionych”, „lemieśzów powolnych”, „sztychówek niezbędnych”, „siewników zdolnych”. Charakterystycznym jest, że wszyscy ci trzej poeci wprost nadużywają przymiotników określających. I tak: U Brauna w „Przemysłach” będą: „skarby za sobnie”, „rzeczy zachwytnie”, „nafta źródłista” — u Słobodnika, który „ideologicznie” wywodzi się od Brauna, spotykamy „polny ranek”, „zielone pole”, albo „posłuszne pługi”.

Weszło to już w manierę i zaczynają na tę chorobę cierpieć debiutanci. Wierszom Brandstaettera, można z tego właśnie powodu zarzucić monotoność, bezbarwność, bodaj, że czy nie banalność, bo chociaż każdy utwór z osobna daje dodatnie wrażenie, to jednak całość nuży jednostajnością formy, ubóstwem sposobów wypowiedziania się. A szkoda. Brandstaetter — to bezsprzecznie talent. Świadczy o tem niektóre wiersze, zawarte w tomie. Wprost świetny jest wiersz „O ciężkiej pracy twórczej”. Cytuję dwie strofy:

„Po ciężkiej z drzewem walce
huczącej w takt zawzięcie,
widzę ślady twych palców
na wykończonym spręcie.
choć sprzęt wyheblowany
w szybkiego hebla śpiewie

sposprzegam potu plamy
na woniejącym drzewie”.

Ciekawe niektóre są kojarzenia i obrazy „blyszczy pszenica pszczołami ziarn” „a gdy noc kryje ciszą dnia miś foremną” „sto żniwiarek stalowych, puszczonych na

[rolę
czci pierwszy zagon zboża pochyleniem
[ostrza”.

„świt powoli się wsywał w wilgotną pierś
[nieba”.

Nie o wszystkich wierszach B. można mówić — o niektórych poprostu nie należy dlatego, iż jest to pierwsza książka młodego autora i wiele utworów nie powinno znaleźć się tu. Można by je wyliczyć: „Kaliopie”, „Czarnoksiężstwo”, „Na przybycie Hanny z Czarnolasu”, „O Bogu i o wierszu” — to wszystko młode albo mało polskie.

Znaleźliśmy również kilka „kwiatków stylizacyjnych”, które zdaje się, zakwitły wskutek porania się autora z formą.

„A te jarzma zmęczone, co dźwigają woły,!!

Wiemy, że nie woły są dźwigane przez jarzma, a przeciwnie, jednak... albo:

„leżą krowy czcigodne w wieczornym spokoju”.

— Krowy czcigodne, czy też — czcigodne w wieczornym spokoju?

Widać jednak, że Brandstaetter pracuje nad opanowaniem techniki poetyckiej, praca ta, jesteśmy pewni, przyniesie dobre, jaknajlepsze rezultaty, a co zatem idzie, więcej zwarty formalnie i treściwo następny tom poezji. A. M.

WIESŁAW WERNIC

ZARAZA W MIEŚCIE

I.

Słońce ślizga się po kwadratowych ramach białych okien. Za szybą sześciu gałęzi jabłoni. Zaczyna już kwitnąć. Przecież to wiosna. Właśnie teraz siedzę przed ciemnym biurkiem, poza tem wszystko jest białe. Krzesła świecą jasnością, z półki od książek kapie złoty blask na brązową podłogę. Od tygodnia jestem na nowym stanowisku. Wielki szpital powiatowy w Olkiennikach. Nowy, ładny, pachnący czystością. Widoczny zdaleka szeroką fasadą i dwoma pawilonami wyrzuconymi w obie strony, kamienne ramiona olbrzyma. Z boku jest sad, dalej — spokojne aleje, po nich rankami gonia się drzące cienie obłoków.

Na wprost biegnie droga wysokich topoli, zlewa się z szosą, a krańców której widnieją domy miasta. Szpital jest za miastem. Dnie postępują, płyną wolno, jeden za drugim, każdy bardziej jasny niż poprzedni i bardziej zielony rozkwitającymi pąkami drzew. Jest już ciepło, w południe otwieram okna. Rano przechodzi tędy Lekarz Naczelny. Mówimy do siebie kilka słów. Ja wychylony do połowy, między dwoma głódkami futrynami, on oparty o kostropaty pień drzewa, unosząc nieco głowę ku górze. Mamy tu jeszcze trzeciego koleżę. Tak we trzech jemy śniadanie. Oprócz nas — dwie pielęgniarki, stróż i woźnica. Codziennie przywozi gazety z miasta, czasem list, ale rzadko.

Chorzy mieszczą się w dwu dużych salach i kilku pokoikach. Żle powiedziałem: mieszczą się:

Jedna sala jest pusta, na drugiej — kilka osób. Jakoś nie mogę skarżyć się na przepracowanie. Powracam do swoich przerwanych badań bakteriologicznych. Wieczorem chodzę po ogrodzie z moim młodszym kolegą.

Potem czytam książki przy elektrycznej lampie. W piwnicach jest mały motorek. Prawdziwy raj, raj w olkiennickim szpitalu. Zaczynam jeździć konno, jeszcze trochę na to za zimno, ale cóż mi to szkodzi? Za pierwszym razem machnąłem w powietrzu kozła, przed samym gankiem głównego gmachu. Nie dałem za wygraną. Jeździć co dzień a nocami zaglądam do swych śmiercionośnych próbek. Skrzypię butami po czekoladowym linieum pracowni, mieszam i wstrząsam najgorsze trucizny świata — bakterie. Wczoraj dostałem niebawym prezent. Mała skrzynka oblepiona pocztowymi stemplami i napisem: „ostrożnie! Szkło!” Przysłało z Warszawy jakieś nadzwyczajne zarazki niezwykłej choroby, gruszącej w puszcach Konga i Zambezi. Afryka — rzeźnia ludzkości. Trzy próbki z kilkunastu przywiezionych przez ostatnią naszą ekspedycję naukową. Doprawdy, mam szczęście, aż się boję.

Kiedy księżyc zagląda oknem, pod szkłem mego mikroskopu wirują małe, żywe nitki, czastki cząsteczek, pyłki pyłów. Ukryty wróg człowieka, z nim toczy się walka na wszystkich frontach, wszystkich narodowości. Jestem w okopie na pierwszej linii. A co by się stało, gdyby tak stłuc trzy małe, błyszczące próbki. Trzy sygnały za-

razy strasznej, bo nieznanej. Trzymam je w ręku, mogę rzucić o podłogę. Potoczają się z cichym brzękiem rozbijanego szkła. Potem oczekiwanie niepokojne; kto pierwszy? Mój sąsiad, lekarz naczelny czy ja? A może ktoś z miasta?

Ostrożnie stawiam próbki. Biada temu, kto wypuści ściśnięty w zinnem kolisku rurki mały świat żyjątek

Wieczory i ranki przechodzą po sobie z niezachwianą pewnością. Wiosenne błoto schnie na drogach. Pszczoły brzęczą na kwiatkach jabłoni. Ten spokój mnie nuży.

II.

Nareszcie. Coś nowego. Byłem w mieście po listy. Nasz furman zachorował. Nie wiemy co mu jest. Pewnie jakieś lekkie przeziębienie. Zresztą mniejsza z tem. Miasteczko, koło ośmiu tysięcy ludności, dziwnie białe i czyste. Starosta, burmistrz, aptekarz, doktor, cóż może być więcej; w takiej zapadłej dziurze jak Olkienniki. A jednak, wbrew przewidywaniom, nie ma tu żadnych typów zasuszonych i zaplesniałych autochtonów. Naczelny lekarz, doktor Staszynski, kończył uniwersytet w Dorpacie, Ramowicz — asystent, w Krakowie; ja — w Warszawie. Trzy „końce świata” spotkały się w Olkiennikach. Zaczynam wiczyć, że kultura wielkimi krokami maszeruje przez nasz kraj. Dzisiaj nie mamy gazet. Jan, jak na złość, ciągle chory. Gorączka wzrasta stale. Co mu jest? Febra, malarja, tyfus, szkarlatyna? Nie i nie. Nie wiem. „Naczelny” także nie wie. Jesteśmy w położeniu człowieka chcącego wyjść z labiryntu.

Niestety, nie mamy kłębka. Posuwamy się omackiem. Probujemy różnych środków. Może, może. Gra idzie o wielką stawkę, o życie człowieka.

Ciągle badam nieznane zarazki. Są niesforne, uciekają z pola widzenia.

Namyslam się, czy wypróbować ich działanie na królikach. Może jednak lepiej nie robić tego? Szpital nie jest instytutem doświadczalnym.

III.

Stało się. Czynie niesłychany wysiłek woli, żeby coś napisać. W mózgu mam chaos. Przyszła kolej na ogniową próbę moich nerwów i woli. Stało się. Dwa wypadki, jeden po drugim, z jakąż przerażającą szybkością. Błyskawica i grzmot. Jestem oślepiiony błyskawicą, porażony grzmotem. Nasz woźnica umarł, choroba nierozpoznana. Zginęła jedna próbówka. Właśnie ta „afrykańska”. Jeśli to prawda, że można nią zgładzić, strach mnie przejmuje, kilka tysięcy... Kiedy zginęła próbówka? Przed tygodniem sprzedaliśmy nasze stare, bezużyteczne flaszki i różne szklane rupiecie. Naprawdę wtedy, przez pomyłkę... Co teraz? Nieznane bakterie, nieznana choroba... Chcę się ludzi, że jedno z drugim nie pozostaje w żadnym związku. A jednak... Próbowka zginęła przed chorobą Jana. Chodzę w nocy po alejach parku i beznamiętnie powtarzam: — próbówka zginęła przed chorobą Jana, przed chorobą Jana, przed chorobą... — Jakże środki ratunku? Gdzie lekarstwo? Każdego dnia oczekuję nowej choroby. Każdego ranka ze strachem wchodzę do sali jadalnej. Bogu dzięki, są wszyscy. Kiedy budzę się w nocy, zdaje mi się, że słyszę daleki skrzyp, bryczki, że wiozą kogoś do szpitala, zwałonego nagłą zarazą. A najwięcej męczy mnie to, że nikt nie przeżuwa. Ie razy chciałem wyjawić; w ostatniej chwili nadzieja wstępuje do serca. A może mnie się tylko tak zdaje? Przedłużyłem wieczorne posiedzenia. Och, wynaleźć antidotum, serum zbawienne, deskę ratunku... Zresztą, cokolwiek się

LIST OTWARTY DO PANA JULJUSZA KADENA-BANDROWSKIEGO W SPRAWIE ARTYKUŁU „MŁODZIEŻ-RYBKICY-KANIBALE” „GŁOS PRAWDY LITERACKI” Z DNIA 26 SIERPNI 1928 ROKU.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwól sobie z tego miejsca zabrać głos w imieniu „najmłodszych”, którzy w piśmie Pana debutowali, a którzy, jak pan w artykule swoim zauważył po kanibalsku „plują we własne gniazdo”.

Chciałbym jednocześnie wyjaśnić pewne momenty wyżej wspomnianego artykułu gdzie Pan dając się ponieść rozżaleniu, zarzuca nam rzeczy, których dopatrzyć się w naszych poczynaniach jest trudno.

Jeżeli zwróciliśmy się do Pana z prośbą o wywiad, o podzielenie się z nami i naszymi Czytelnikami, światłym sądem swoim na temat zagadnień, które nas interesują i które pragniemy wcielić w poezję — zrobiliśmy to właśnie dlatego, że z pod Pana znaku wyszliśmy, aby wywalczyć już na szpaltach własnego organu własne prawdy społeczne i artystyczne.

Nie może Pan chyba przypuszczać, że kierował nami zgóry uplanowany cel napisać na Pańską redutę. Gdybyśmy bowiem to zechcieli zrobić, zrobilibyśmy to już dawno bez mieszaniny w to osoby Pana.

Kiedy nasz kolega redakcyjny zwrócił się do Pana telefonicznie z prośbą o chwilę rozmowy — otrzymał odpowiedź: „Czego odemnie chcecie? Dajcie mi pokój! Nie mam czasu, a zresztą nie znam Was zupełnie!”

I tu przybiorę ton artykułu Pana:

Panie Redaktorze! Czy to ja byłem u Pana (co Pan zresztą z pochlebniemi dla mnie słowami potwierdza) w dniu 28 kwietnia roku ubiegłego, aby zaprosić Go do wzięcia udziału w jury „meczu poetyckiego Lwów-Warszawa?”

Czy to ja i Słobodnik dziękowaliśmy Panu potem za przychylenie się do naszej prośby?

Czy to Bibrowski.....?

Czy to Nina Rydzewska.....?

I naraz usłyszeliśmy:

— Nie znam Was zupełnie.

A potem wywiad (oby go lepiej nie było!) i stek słów i określeń — nie to, Panie Redaktorze, że niepoehlebnych, bo tu wogóle nie o nas chodziło, a o wysunięte przez nas idee — wywiad z Panem, jak nas informował kolega Czesław Boratyński — ubliżając go do woli sprawy.

Zreżumujmy: Czemże to można było tłumaczyć, jak nie megalomania, tą megalomanią, której przyłączenie do Pana osoby nie z naszych ust poraz pierwszy padło, a z ust Pana kolegów.

Pisze Pan, nawiązując do artykułu Andrzeja Wolicy.

„Na Boga! Dlaczego to co niedzielną drukuję „beznadziejne elaboraty wierszowane” i dlatego to rybki łowią z mętnej wody polskiego grafomanstwa — jeżeli rybkami temi poraz pierwszy przezemnie właśnie na dzieńne światło poezji polskiej wyłowionymi, byli poeci, którzy podszczekiwaczem mnie teraz nazywają i szkodnikiem. Czy to nie w Głosie Prawdy drukował Pan swój pierwszy wiersz, panie Andrzeju Wolica?”

„...A zatem czy i Panów — młodzi poeci, których talentem tyle poświęciłem zapamięłowaniu, panie Maliszewski, panie Słobodnik, panie Ciesielczuk, panie Bibrowski, uważa

jąc mam za rybki wyłowione z mętnej wody polskiego grafomanstwa?”

Panie Redaktorze! Tak. Istotnie. Panu w dużej mierze zawdzięczamy, że z rybek plawiących się w cuchnącem błotku grafomanstwa wyrosliśmy na jakieś takie ryby, aby kto wie — stać się kiedyś wielorybami. Ale bądźmy szczerzy do ostatka. Czy nie przyzna Pan nam słuszności, że dzisiejszy Głos Prawdy Literacki to już nie ten dawniejszy, ten który wejdzie kiedyś do najmlodszych wspomnień naszej młodości, to jakaś lewa noga, puśczone na odczepnego kilkukolumnowa szmata, zapełniona drukiem cotydzien jakby z obowiązku. I czy Panie Redaktorze, naprawdę nie mamy prawa zapytać, czemu drukuje Pan różne wierszowane, rozchlipane bzdury w rodzaju p. Rościszewskiej? Przecież jest to pismo, które już posiada, dzięki Panu, przez nas ugruntowaną tradycję.

A teraz niechajże dojdą do Pana wiadomości a propos „poczytnego dziennika” słowa wypowiedziane przez redaktora Stpiczyńskiego:

— Honorarium? Powinniście dziękować Bogu, że się Was wpuszcza na łamy porządnego dziennika.

I jakże, Panie Redaktorze, może istnieć pełne zaufanie młodych do starszych? Zaufanie, o którym Pan tyle mówi i z którym zwracaliśmy się do Panów zanim nam jako „smarkaczom” nie zatrzęsiano przed nosem drzwi. Niechajże Pan nie bierze artykułu Wolicy dosłownie tylko do siebie — winnymi są liczni Pana koledzy, zajmujący fotele redakcyjne.

Zarzuca Pan młodym, że zbyt mało pracy poświęcają na twórczość poetycką.

Pozwól sobie przypomnieć Panu chwilę, kiedy byłem u Niego, badając z Bibrowskim i kiedy rady Pan nam dawał, jak należy systematycznie codziennie o jednej godzinie zasiadać do pracy literackiej, a beznadny Pan stanął, kiedy powiedziałem, że od ósmej do czwartej przywożdzony jestem do biurka nad księgą główną i że wracam do domu z łbem rozgorączkowanym od beznadziejnie długich kolumn cyfr, które trzeba zestawić i uzgodnić i, że piszę tylko dorywczo, gdzie popadnie — piszę, kiedy muszę.

W tej samej sytuacji znajdują się prawie wszyscy moi koledzy i, proszę sobie wyobrazić, że inaczej być nie może, skoro trzeba Bogu dziękować, że ich się „wpuszcza na łamy poczytnego dziennika”.

Stąd rozgoryczenie Andrzeja Wolicy — owe negocjowanie pracy naszej, owe „ja Was zupełnie nie znam” dyktuje nam słowa godzące w Panów. Ale to nie znaczy, Panie Redaktorze, że pragniemy, abyście odeszli — pragniemy, abyście zrobili jaknajwięcej i przekazali nam bryłę, której wartość wszyscy uznają i cenić musimy — nie tylko jako twórcy ale i ludzie.

Aleksander Maliszewski.

P. S. Przy okazji pozwolę sobie podać do publicznej wiadomości, że w połowie lipca r. b. wystąpiłem z grupy poetyckiej „Kwadręga” i uprzednie proszę o niezapisywanie moich posunięć na rachunek tej firmy i odwrotnie.

DYPLOMACJA a POEZJA

W doda.xu literackim łódzkiego „Głosu Polskiego” z dnia 19 sierpnia r. b. znajdujemy ciekawy artykuł Ilji Erenburga, ilustrujący stosunki literackie w Polsce. Podajemy naszym Czytelnikom kilka fragmentów z tego artykułu, bez komentarzy.

Red.

Gdy się widzi pisarzy polskich poza zwykłymi uroczystościami Pen Clubu, można ich uważać wszystkich za członków Akademii, otoczonych honorami, uznaniem i bogactwem. W rzeczywistości życie pisarza nie jest tu słodkie. Aby się zajmować literaturą należy (oprócz rzadkich wyjątków) posiadać solidny kapitał, albo też poboczne zajęcia. Jedni zarabiają na życie w dziennikarstwie, inni w kabaretach albo w teatrzykach. Jeszcze inni wolą posadę w ministerstwie spraw zagranicznych, lub też najzwyczajniej w jakimkolwiek biurze. Honoraria w Polsce są bardzo niskie. Tłumaczy się to nie tylko zwykłym, wprowadzonym przez wydawców, ale przede wszystkim małym nakładami. Nakład 5.000 uważany jest tutaj za wielki sukces. Bardzo często dobra książka, która uzyskała zachwycające głosy krytyki, nie przekroczyła w sprzedaży 10 do 20 egzemplarzy. Polska ubóstwia swych poetów i pisarzy, ale ich nie czyta. Wierzy na słowo, że są dobrzy.

Pisarze polscy żyją w oddzielnym konwencyonalnym światku. Ciskają swe książki, jak się ciska butelkę w wodę: kto wie, jaki oryginał ją wy-

ZAMIAST WYWIADU

Fragment artykułu Juliusza Kaden-Bandrowskiego „Młodzi—rybki—czy Kanibale” — zamieszczono w „Głosie Prawdy” w dniu 26 sierpnia r. b. jako odpowiedź na artykuł Andrzeja Wolicy „Kadencja megalomanistwa”.

Nasi młodzi nie pracują, Stawianie przez nich t. zw. problemu społecznego nie pokrywa się z pracą poetycką, jakiej wymaga sondowanie problemów społecznych. Ze poruszenie zagadnień pracy zjawia się u naszych młodych w formie nader powierzchownej. Widzą oni dany obrazpracy fabrycznej, czy rzemiosła i osądzają ów obraz, przepatując go na walory poetyckie — fantazją miewskiego inteligenta. Czy społecznika. Że metoda ta do niczego nie prowadzi, dając stały obraz fałszywy. Co więcej, że metoda taka obraża pracę (wzniosłość problemu), zawsze wprowadza fałszywe współczucie i nie uwzględnia zasadniczych motywów pracującego, gdyż nie może uwzględnić motywu miłości pracy.

Mówiłem (nauczony doświadczeniem długich obserwacji i czynnej współpracy na kopalniach w naszym zagłębiu węglowym), że tak zwana niewola pracy jest mitem miewskiego inteligenta. Nie ma robotnika najczęściej pracującego, któryby pracy swojej nie kochał. A zatem, że sprawa tak zwanej nienawiści klasowej przedstawia się o wiele głębiej i tragiczniej, niż może to sobie wyobrazić człowiek z zewnątrz.

A zatem, że jeżeli pragnie się tworzyć poezję pracy, to trzeba „poświęcić się”, przełamać i pracować przy maszynie, w przedalni, na przodku górniczym i t. d. Tymczasem młodzi poeci nie poddają się tej dyscyplinie, pozerani głodem druku, rozgłosu i famy.

dobędzie! Nie widzą swych czytelników — co jeszcze bardziej pogłębia przepaść między nimi, a otaczającą rzeczywistością. Naród polski jest pełen poświęcenia i blasku. Polacy nie posiadają ani naszej rosyjskiej nietrafności, ani ciężkiego dowcipu Niemców. Bardzo dużo czytali i bardzo dużo wiedzą. Dlaczego więc literatura polska tak rzadko staje w rzędzie literatur światowych? Dlaczego nawet miejsce Żeromskiego, pisarza, który wpadał często w zbyt wąską lokalność, pozostaje wciąż niezajęte? Jestem skłonny przypuszczać, że zło nie leży bynajmniej w złośliwym przemilczeniu geniuszu polskiego przez cudzoziemców, ani nie tłumaczy się młodością państwa polskiego; leży to w samym charakterze kraju.

Prawie wszyscy pisarze polscy znają dwa, często nawet trzy języki cudzoziemskie: rosyjski, niemiecki, francuski. Ta zaleta, mogłaby się stać wielką siłą. Jest ona jednak raczej słabością dnia dzisiejszego. Blok, symboliści, Jesienin, dadaści, Majakowski, Marinetti, ekspresjonści niemieccy, Pasternak — wszyscy znajdują tutaj rozległą potęgę. Ale jeszcze straszniejszy od skłonności poddawania się wpływowi obcym jest konserwatyzm, przede wszystkim kobiet. Ekspansywna literatura polska nie jest w stanie wnieść się ponad zakorzenione tradycje, zwyciężyć naiwność konwencyonalnego, bohaterskiego świata, który trwał ongiś na polu walki, a który dzisiaj jest tylko cmentarzem. Romantyzm ubiegłego wieku, niczym nie związany z romantyzmem naszych dni, ciąży poważnie na literaturze polskiej.

Oto dlaczego jest więcej poetów w Polsce, niż prozaików, dlaczego wiersze są lepsze, wyższego gatunku i bardziej do rzeczy, niż powieści. Oto dlaczego czytelnicy polscy wolą często utwory autorów obcych, którzy pomimo egzotyzyму warunków środowiska, są bardziej realni, bardziej żywi, bardziej bliżcy.

Jeśli współczesna literatura rosyjska nie może się obyć bez atetyzmu, niezbędnego jak kofeina w licznych wypadkach otrucia, jeśli ta patetyczność jej zbawieniem przeciwko „prawdopodobności”, której jest zaprzeczeniem, pisarze polscy powinni unikać tonu patetycznego, konwencyonalnego dowcipu, fałszywego romantyzmu i powinni iść na spotkanie życia kapryśnego, ale żyjącego.

Dużo nazwisk, dostateczna ilość talentów. Firmy wydawnicze. Wrażenie życia szerokiego i szumnego. A jednak wszystko to wzięte razem nie daje jeszcze literatury wielkiego kraju i wielkiego ludu: są to zaledwie wspaniałe turnieje w zamkniętym podwórku wymagowanego zamczyska.

Rząd polski czyni wszystko możliwe, aby przedstawić zagranicy swą literaturę jako literaturę światową. Udziela subsydjów piśm — „La Pologne Littéraire” — które wychodzi w kilku językach i gdzie publikacje, chociaż pozbawione smaku, są jednocześnie nader krzykliwe. Rząd próbuje zasłużyć sobie na wdzięczność swej literatury, jakgdyby to było możliwe dyplomatycznie przekształcić swych obywateli w Gorkich, Mannów i chociażby Duhamelów. Nadzieje rozciągają się nie na tworzenie nowych talentów, lecz na perjo-dyczną głupotę nagrody Nobla, która teraz powinna być przyznana Sieroszewskiemu. A więc dopiero zacznie się wszędzie tłumaczyć, oceniać i kochać pisarzy polskich!

Ale geniusz nie jest częścią terytorjum. Nie można go tak łatwo anektować.

stanie: stalowe nerwy, zimna krew; trzeba być zawsze gotowym i czujnym.

Spokój i cisza. Oby nie była ciszą przed burzą. Królik zdechł po 12 godzinach. Zastrzyknął jego surowicę następnemu. Zdechł także. Wszystkie nieszczęścia wałęsają się na moją głowę. Doktor Staszyński wyjeżdża na urlop. Tego jeszcze brakowało! Kapitan opuszcza okręt na minutę przed nawałnicą; co będzie z załogą? Ja milczę jak skała, przecież mogę się mylić!

Jest nowy chory. Przecieram oczy i przyglądam się temu co napisałem. Nie chcę wierzyć rzeczywistości. A jednak, jest nowy chory... Z miasta. Objawy takie same jak u Jana. Umrze. Nabrałem jakiegoś dziwnego spokoju. Mam pewność. Ale co dalej?

Staszyński zaniepokojony. Dreczy go nierozpoznanie. Sekcja zwłok nic nie wykryła.

Jesteśmy w mroku. Skąd przyjdzie światło? Ciągłe noszę w sobie natrętną myśl: powiedzieć, powiedzieć.

IV.

Dwa tygodnie pióra nie miałem w ręku. Piekło panuje na ziemi. Wieczorami widzę jasne gwiazdy strażniczych ogni. Od czasu do czasu słyszę ostre i błyszczące jak stalowy nóż, światło reflektorów. Jesteśmy odcięci od świata podwójnym kordonem wojska i straży sanitarnych.

Zaraza w mieście. Nie ma czego ukrywać. Wielka komisja lekarska rządzi w Olkiennikach. Wszystko przewrócone do góry nogami.

W słoneczne dnie błyszczą barwne czworokąty czerwonych krzyży w większości domów. Szpital przepelniony i ludzie mra stule. Każdy się spodziewa, że jutro, że może już jutro on sam... Ale o tem się nie mówi. Moje nerwy stępały zu-

pełnie. Poruszam się jak automat, niewrażliwy i obojętny na wszystko co się dookoła dzieje.

Długie korowody wozów klekocących żółtemi, nieheblowanymi trumnami, gnyjące zapach sublimatu i ciche, spieszne szeptań na korytarzach szpitala.

Chodzimy stale w białych fartuchach, jak duchy. Rozciągamy naszą ośroczność do granic niemożliwości. Nic nie pomaga. Chyba skazani jesteśmy na zagładę, na wynieranie powolne i systematyczne. A wszystko zaczęło się w dzień wyjazdu doktora Staszyńskiego.

O dwunastej w południe odchodził pociąg. O jedenastej przytransportowano dwu chorych z objawami zarazy. Doktor Staszyński zrezygnował z urlopu. Nazajutrz mieliśmy znowu o jednego chorego więcej. Potem już codzień ktoś przybywał.

Teraz nie nie powiem. Cóż pomoże samoskarzenie?

Nie ustaję w moich doświadczeniach z bakteriami. Mogę nawet powiedzieć, że mam wygodę. Spiam w pracowni. Mój pokój oddany dla chorych. Siedzę nad mikroskopem i myślę, że może właśnie w tej chwili ktoś umiera, tam na górze, albo w bocznym skrzydle, albo w prowizorycznym szpitalu miasta, w ratuszu.

Już jest chorych dwu lekarzy. Wczoraj miałem dyżur i okropną noc. Nasz stróż-mechanik omdlał przy motorze. Zgasło światło na salach i w całym budynku, a właśnie przywieziono kilka osób. Sam temu nie wierzę, ale puściłem motor w ruch.

Boję się, że zabraknie królików, a sprowadzić nowe w takiej chwili... Wydzielają nam teraz porcje dzienne... Z żywnością kruch. Kto wie, czy za kilka dni widno głodu nie zajrzy nam w oczy. A ja marnuję króliki na bezowocne do-

świadczenia. Jeżeli tak dalej będzie, zabronią mi badań.

W spokojny dzień słychać dzwon dalekiego kościoła. Pogrzeb. Jeszcze jeden i jeszcze...

Umarłych grzebie się nocami. Już potajemnie wynosi się zimne ciała z sal szpitalnych. Byłoby tylko zachować tę resztę odwagi upadającej z dnia na dzień u miejscowej ludności.

Grozi nam niebezpieczeństwo i z innej strony. Najgorsze instynkta wypelzły na wierzch wśród ogólnego przerażenia. Najgorsze, dotychczas w ciemnościach żerujące postacie, wyszły na światło dzienne. Wczoraj obrabowano dwa sklepy w mieście. Koło naszych magazynów wciąż się kręca podejrzane osoby. Anarchja postępuje śladami zarazy. A kto temu winien? Kto winien? Nie chcę myśleć... Ciągłe nie tracę nadziei. Może się uda, dziś, jutro... Wyjdę z flaszką zbawiennej surowicy.

Noc próby. Jak ją przetrzyma mój królik, jeden z ostatnich.

V.

W dusznych i ciemnych oparach zarazy poczynam mi błyskać światło. Niepewne i blade, ale świeci. Oby nie zgasło.

Królik żyje. Żyje dwa dni. Surowica gotowa. Ostro, stalowa igła, gotowana we wrzącym ukropie. Za chwilę dokonam pierwszego zastrzyku. Zdecyduje się na koniec: klęska ostateczna albo zwycięstwo.

Teraz pozostaje tylko czekać. Czekać przez parną noc. Zanosi się na burzę, trójkąt błyskawicy przetrzął sklezione kamery. Jest duszno.

Co pół godziny biegnę do sali gdzie spoczywa chory, mój chory.

Nic, żadnego polepszenia. Ciągłe nieprzytomny, ciągle mający.

Oto czego dokonała moja próbówka, jedna zgubiona próbówka.

Jeśli się nie uda — powiem wszystko. Będę krzyczał wielkim głosem, kto jest mordercą. Jeśli się nie uda...

Pod ręką czuję zimny chłód rewolweru. Parzę beznadziejnym wzrokiem na sekundnik zegarka. Deszcz rozpadał się na dobre i wisi kotarą drżących kropel za szybami. Szarość świtu powoli wciśka się na pokój. Ktoś chodzi po korytarzu...

Choremu nic nie lepiej. A więc, nie pomogło. Zdecydowałem się. Za kilka chwil wyjdę stąd i powiem wszystko, a potem...

Stalowy cyngiel drażni palce.

Trzeba wstać z fotelu. Fotel trzyma mnie mocno, nie chce puścić. Jeszcze przejrzy swoje papiery. Odsuwam sufladę. Coś gładkiego uczułem pod palcami. Próbowka! Otwieram oczy jak mogę najszybciej. Mocna zakorkowana próbówka. Pełna. Trzecia zgubiona próbówka. Ciężar spadł mi z piersi.

Nie ja jestem winien, nie ja! Mój pacjent umrze.

Głośnie szmery na korytarzu. Spieszny tupot nóg. Z trzaskiem otwierają się białe lakierowane drzwi.

— Doktorze! — Co się stało? —

— Poprawa! poprawa!...

Białe fartuchy sanitariusza marszczą się w długie fałdy. — Nieprawda! — Z ust moich wychodzą jakieś obce, nieznanne dźwięki. — Poprawa! — krzyczy postać od lakierowanych drzwi.

Nie mogę podnieść się. Rece biegają bezładnie po ciemnej ceracie. Czuję wilgoć w oczach, która jasnemi kroplami spływa na płaszczyznę zimnego stołu.

NAJPOCZYTNIEJSI

Kto?

Wiemy: Żeromski, Strug, Sieroszewski, Bandrowski, Dąbrowska, Nałkowska, Kuncewiczowa, Wołoszyński.

Nie!

Więc?

Irena Zarzycka i Piotr Marczyński.

Dowiadujemy się o tem z anonsu Tow. Wydawniczego „Rój”. Ten zastraszający stan nie wynika bynajmniej z winy instytucji wydawniczych, które przecież robią coś nie coś, aby podnieść poziom czytelnictwa. Fakt, że „Dzikuska” Zarzyckiej zdobyła rekord w ilości rozsprzedanych egzemplarzy, świadczy tylko o zapotrzebowaniu na rynku podobnej beletrystyki, świadczy o potrzebie ukazania się nowej Mniszkówny, czy Rodziewiczówny.

I cóż tu pomogą naganki prasowe i gromy-rezolucje ciskane z posiedzeń literackich na głowy wydawców.

Instytucje wydawnicze, nie wspierane subsydjami rządowymi, czy komunalnymi, poprostu nie mogą utrzymać się na powierzchni przez dłuższy okres czasu, jeżeli za punkt honoru biorą sobie wypuszczanie na rynek tylko książek stojących na poziomie. Mamy przecie najwyższe przykłady, że instytucje podobne wiecznie kuleją finansowo, wiecznie zalegają z wypłacaniem honorariów autorom i ostatecznie po krótkiej, czy krótszej wędrówce muszą zwinąć chorągiewki.

Mówi się u nas dużo o genialności zmysłu administracyjnego, że „ten ma nos”, ten czuje rynek”. Czy ów „mający nos” i „czujący rynek” będzie pomimo wszystko wydawał autorów mniej poczytnych, aby zagrzebać swój kapitał?

Oczywiście, nie. Sądzę przeze, że naganka i hukanie na wydawców za zasypywanie nas tandetą nie są słuszne. Nie możemy narzekać. Nasze instytucje wydawnicze robią wszystko, aby utrzymać poziom. Dowodem — cały szereg wypuszczonych wartościowych książek, o których zgóry wiadomo, że „nie pójdą” i kto wie czy nawet pokryją koszt druku.

Błędne koło! Jedni spazmują „tandeta!”, inni tłumaczą „najpoczytniejsi!”

Jaki jest sposób na podniesienie poziomu czytelników powinno o tem wiedzieć Ministerstwo Oświecenia. Przy wstawieniu do budżetu i do programu szkolnictwa pewnych zmian, można by jednak otrzymać pewne rezultaty. Zresztą — kto wie — może naprawdę różni Marczyńscy i różne Zarzyckie zawsze będą najpoczytniejsi i może naprawdę to jest wieczne i nieuleczalne...

a. m.

KORESPONDENCJA

Maciej Dzw. — Warszawa. — Prosimy o osobiste porozumienie się z p. Aleks. Maliszewskim. Warszawa, ul. Gęsia 49 m. 2, w godzinach 5—6 pp.

J. Sk. — Truskawiec. — Z tonu listu Pana wnioskujemy, że wiersz przesłany należy potraktować jako płatne ogłoszenie. Zupełnie słusznie — wiersz słaby i w dziale redakcyjnym pójść nie może. Dopisek pod nazwiskiem — zbyteczny.

SPROSTOWANIE

W n-rze 13—14 „Głosu Literackiego” do fejtetonu: „Hemoroida contra hermafrodyta”, na szóstej stronie wkradła się omyłka zecerka. Zamiast nazwiska Grubiński wydrukowano Grabiński — co niniejszym prostujemy.

Z OLIMPIJADY

Jak informuje J. W. Tellers, sekretarz międzynarodowej jury konkursu sztuki na IX-iej Olimpiadzie, konkurs literacki, obejmujący poezję, prozę i dramat, odbywał się w ten sposób, że książki zgłoszone do konkursu zostały rozesłane członkom jury, przyczem każdy miał swoich referentów na plenum. Utwory poetyckie referowali przed jury literackim trzej pisarze: P. C. Bon-tens wybitny poeta holenderski, prezes Pen-Clubu w Haadze, Herbert Eulenberg, znakomity pisarz niemiecki i Sophus Michaelis, powieściopisarz duński, prezes Pen-Clubu w Kopenhadze. Do konkursu stawało 10 państw: Austria, Belgia, Danja, Holandia, Francja, Niemcy, Polska, Szwajcaria, Węgry i Włochy. Zgłoszono 40 utworów. Laur Olimpijski Wierzyńskiego uzyskał od wszystkich trzech referentów najwyższą notę t. j. po 10 punktów od każdego. Drugi z kolei nagrodzony utwór pisarza niemieckiego Bindinga p. t.: „Reitvorschrift für eine Geliebte” uzyskał od dwóch referentów po 10 punktów i od jednego 9 p. Wszyscy trzej referenci wyrażali się z wielkim entuzjazmem o zbiorze Wierzyńskiego. Herbert Eulenberg pisał o „Laurze Olimpijskim” m. in., że wyraża on „rozwoj człowieka, jego ukształtowania się woli i siły działania.” Jest to „wyjątkowo silny, pełen ducha współczesnego utwór.” Sophus Michaelis, wyraził swój sąd krótko: „Wspaniałe, miejscami genialne poezje!”

Konkurs malarski i rzeźbiarski odbywał się w ten sposób, że jury decydowało na samej wystawie, pa obejrzeniu eksponatów.

I w tym dziale konkurencja była wielka, wszystkie narody bowiem zgłosiły wielką ilość eksponatów. Maladstwo reprezentowane było przez 19 państw, obejmujące najznakomitsze nazwiska malarstwa współczesnego, jak Matisse, Gross, Stegert i t. p. Prof. Wł. Skoczylas wystawił trzy drzeworyty i jeden obraz olejny — „Łucznik” I i II, „S-ty Hubert” i „Djana”.

Szczegółowe wyniki konkursu są następujące: W dziale literatury:

a) Za utwory liryczne: 1) Wierzyński za „Laur Olimpijski”, 2) Bindling (Niemcy) za „Reitvorschrift für eine Geliebte”, 3) Weltzer (Danja) za „Symphonia Heroica” (utwór dedykowany Lindbergowi). b) Za utwory epiczne: 1) Mero (Węgry) za „Histoire de Jeux Olympiques”, 2) Weiss (Niemcy) za „Boetins von Ohlameude”, 3) Scharten-Antink (Holandia) za „De Nar in de Maremmen”. c) Za utwory dramatyczne: pierwszej i trzeciej nie przyznano; drugą otrzymał de Bessig (Włochy) za „Tearo”.

W dziale muzyki: nagroda trzecia: R. Simon-seu (Danja) za „Symphonia N. 2 Helles.”

W dziale architektury:

a) Projekty: 1) Wils (Holandia) za Stadjon Olimp. w Amsterd. 2) Mindedal-Rassumssen (Danja) za „Bazin de Natatoir w Olerup”. 3) Lambert (Francja) za „Stade de Versailles”. b) Projekty arch. miejskiej: 1) Hensel (Niemcy) za Stadjon w Norymberdze. 2) J. Lambert (Francja) za Stadjon w Wersalu. 3) Laengen (Niemcy) za Park miejski w Hamburgu.

a) Malarstwo: 1) Israels (Holandia). 2) Pani Knight (Anglia). b) drzeworyty: 1) Jacoby (Luxemburg). 2) Mirot (Francja). 3) Skoczylas (Polska). c) obrazy graficzne: 1) Nickalson (Anglia), 2) Moes (Szwajcaria). 3) Feldbauer (Niemcy).

NOWE KSIĄŻKI

— E. Deb. — Nouveau cours pratique de français. Première partie. Cena zł. 6. Wydawnictwo M. Arcta 1928.

Autor, wytrawny pedagog, zna doskonale właściwości ucznia polskiego i do jego potrzeb dostosował swój system; łatwy i bardzo jasny układ, celowe stopniowanie wiadomości pozwalają na nadzwyczaj szybkie opanowanie tak trudnego a pięknego języka. W szkołach średnich przy innych podręcznikach, odda metoda E. Deba wielkie usługi jako książka pomocnicza.

— Podręcznik fotografii. — Przewodnik praktyczny dla amatorów i zawodowców. Opracowany przez T. Barzykowskiego i J. Jarońskiego, pod redakcją St. Schönfelda. Z rycinami i tablicami. Wydanie III. Cena zł. 8. — w opr. zł. 11. Wydawnictwo M. Arcta 1928.

Treść: Obiektyw. Prześlona. Migawka. Kamera. Ciemnica i jej urządzenie. Materiał negatywny. Zdjęcia. Negatywy. Płyty barwne. Pozytywy. Powiększenia. Sposoby sporządzania odbitek. Kine-matografia amatorska. Elowniczek. Jest to nowe opracowanie znanego, popularnego podręcznika fotografii Vogla, wydane pod kierownictwem „Polskiego Towarzystwa Miłośników Fotografii”.

— Dr. K. Radwan-Prąglowski. — Człowiek swej woli. Nowe metody zdobywania siły woli, zdrowia i radości życia. Cena zł. 2.40. Wydawnictwo M. Arcta.

Treść: Djaagnoza. Potęgowanie aktywności. Gimnastyka psychiczna. Dyscyplina woli. Technika wy-wolywania uczuć. Tablice sugestywne. Cisza i spokój. Ćwiczenia oddechu. Gimnastyka woli. Skon-

centrowany wzrok. Samowmówienie.

Zasadniczym podręcznikiem, ważniejszym może nawet od książek do arytmetyki czy historii — to podręcznik nauki życia. A podśawa życia jest silna wola i umiejętność jej używania. Wogóle za-mało uwagi zwraca się u nas na tę sprawę, tak wysoko postawioną szczególnie w krajach anglo-saskich. Nikt u nas woli specjalnie nie kształci, ani nie wzmacnia. A przecież tylko świadoma, wyro-biona i opanowana siła woli daje powodzenie w życiu i pozwala na zdobycie stanowiska moralne-go i materialnego.

Dr. K. Radwan, znany z odczytów o hypno-tyzmie i sugestji, stwarza właśnie taki szereg pod-ręczników. Oto pierwszy z nich.

F. Teodorowicz. — Dziwy świata grzybowego. — O mocarnej pieczarce. — Owady a my. — O grzy-bie dziwaku. — Mądrze łabędzie. — Wizyta u mu-chomorów. 50 rys. według akwarel z natury ar-tystów-malarzy Adama Ciompy i Zygmunta Wier-ciaka. Cena w oprawie zł. 4.80. Wydawnictwo M. Arcta 1928.

Dla tych, którzy lubią grzyby (ze śmietaną i cebulką... a może smażone w maśle?), a nie chcą umrzeć nagłą śmiercią, napisał pierwszy uczony „grzybiarz” polski (sława europejska) praktyczny, ciekawy i rzeczywiście ładny wstęp do grzybozna-wstwa.

Michał Sobeski. — „Z pogranicza sztuki i fi-lozofji. — Nakł. firmy Fiszer i Majewski. Poznań 1928 r.

Podręcznik Przysposobienia Wojskowego. Z 200 rysunkami w tekście i 5 tablicami, opracowany pod

ogólną red. majora S. G. Ł. Kolbuszewskiego. — Główna Księg. Wojsk. Warszawa 1928.

Jerzy Niezbrzycki. „Nauka o terenie”. — Wy-kłady i ćwiczenia dla hufców szkolnych i oddzia-łów Przysp. Wojsk. Wyd. II. Gł. Ks. Wojsk. War-szawa 1928.

Kpt. S. G. Mieczysław Rączkowski. — „Podręcz-nik taktyczny dowódcy drużyny strzeleckiej”. Bibl. Podof. Tom. II. Gł. Ks. Wojsk. Warszawa 1928.

Zofia Zawiszancka. — „Poprzez fronty”. Pamięt-nik wywiadowczy 1 p. p. Leg. z 1914 roku. Gł. Ks. Wojsk. Warszawa 1928.

J. I. Kraszewski. — „Lubonie”. — Powieść z X wieku w 2 tomach. — „Bracia Zmartwychwstań-cy”. — Powieść z czasów Chrobrego w 3 tomach. „Masław”. Powieść z XI wieku w 2 tomach. Jest to dalszy ciąg wydawnictwa podjętego przez firmę M. Arcta w Warszawie.

St. Łoza. — „Prof. Ignacy Mościcki. Prezydent Najjaśniejszej Rzplitej Polskiej”. Studium biogra-ficzne Gł. Ks. Wojsk. Warszawa 1928.

Henry Duvernois. — Maksym — powieść. — Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa 1928.

A. Awerzenko. — Humor dla głupców. — Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa 1928.

Janusz Meissner. — Eskadra — powieść. — Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa 1928.

Lidia Sejfułina. — Mierzwa — nowele. — Tow. Wyd. „Rój”. Warszawa 1928.

Roman Brandstaetter. — Jarzma. Poezje. — Warszawa. Gebethner i Wolf — 1928.

JESZCZE W SPRAWIE WYWIADU

Do
PANA JULJUSZA KADENA-BANDROWSKIEGO.

W 260 numerze „Głosu Prawdy”, dodatek li-teracki przedstawił Pan historję wywiadu, ja-kiego był Pan łaskaw udzielić mi jako dele-gowanemu przez Redakcję „Głosu Literackiego” w sposób niezupełnie ściśle odpowiadający istot-nemu stanowi rzeczy. Dlatego też pozwolę sobie oświetlić tę sprawę tak, jak ona rzeczywiście wy-głądała.

Redakcja „Głosu Lit.” rozpisała ankietę na temat „rozwiązywania zagadnień społecznych w poezji”, zbierając opinie najwybitniejszych przed-stawicieli naszej literatury (Staf, Sieroszewski, Ryger-Nałkowska, Strug). Z kolei zwróciłem się telefonicznie do Pana z prośbą o wyznaczenie spot-kania dla uzyskania i Pańskiej opinii. Zgodził się Pan. Nie było więc żadnego „naciągnięcia” Pa-na na wywiad, jak to Pan stara się przedstawić w swoim artykule. Spotkanie nastąpiło, jednak nie zaznaczył Pan na wstępie, jakoby „dzięki temu, że jestem wojskowym, sprawa upraszczała się znacz-nie, bo ma Pan niewiele czasu, z wojskowym jed-nak będzie Pan mógł przecież posługiwać się ter-minologią zwieżłą, lapidarną”. Może Pan tak w danej chwili myślał, ale tego Pan nie mówił. Tu ruszę również dodać, iż nie wiedziałem w chwili naszego spotkania, że nastawia Pan swe wyrażenia o sprawach krytyczno-literackich zależnie od ubra-nia (munduru), bo byłbym się w takim wypadku ubrał po cywilnemu.

Wywiad się odbył. Opinia Pana o omawia-nych zagadnieniach była niekorzystna, wyrażona pod koniec rozmowy słowami „lapidarnymi” i jednemi jak na gwarę żołnierską, ale jak na roz-mowę literacką, to określenie niemi naszego skrom-nego może dorobku, ale jednak dorobku literackie-go, było bolesne i krzywdzące, jeżeli już zgoda nie ordynarne.

Nigdy podczas wywiadu notatek nie robię. Pamięć mam dobrą, na dowód czego pozwolę sobie dla uzupełnienia całości dodać, że w zamieszczonym artykule Pana o owym nieszczęśliwym wywiadzie opuścił Pan niektóre zdania..., jakie Pan wówczas o mnie wypowiedział. I tak na początku rozmowy zaznaczył Pan, że zasadniczo niema żadnego utwo-ru literackiego, któryby nie był mniej lub więcej związany z życiem. Jedynie uważa Pan kilkanaście sonetów francuskiego poety Paul Valery za ściśle abstrakcyjne... oderwane zupełnie od tła spo-

łecznego..., otaczającego poetę. Następnie pisząc o powierzchownem traktowaniu zagadnień społecz-nych przez naszych młodych, zapomniał Pan dodać, że nasze rozwiązywanie zagadnień społecznych, to spoglądanie na pracującego robotnika przez szybę fabryki do wnętrza, bez zrozumienia jego istotnego bytowania, że roztkliwiamy się robotnikiem niepo-byśmy mu tę pracę odebrali, to byłby nieszczęśli-wym. Pisząc o poświęceniu się pracy zapomniał Pan dodać, że Pan sam, nim Pan napisał swego „Szweca” zdarł sobie ręce dratwą, pracując dwa miesiące u szweca, by wniknąć dostatecz-nie w jego psychologię. Wreszcie zapomniał Pan napisać całej rozmowy o Akademii i Izbie Lite-rackiej, w której podkreślił Pan konieczność gra-dacji osób i zasług w literaturze, przyczem wyraził się Pan, że jak w wojsku nikt odrazu nie zo-stanie generałem, lecz musi przejść kolejno wszyst-kie stopnie hierarchji wojskowej, tak powinno być i w literaturze. Mówił Pan, że dopóki żył Żerom-ski siłą rzeczy i zasług przewodził polskiemu świa-towi literackiemu. Po jego śmierci stają na czele Sieroszewski, Strug „moja małość” i t. d., i t. d....

Jak więc Pan widzi, pomimo, że notatek nie rciłem, słowa Pana pamiętam jeszcze dziś i sens ich zrozumiałem dobrze, aż nadto dobrze.

Jak zawsze tak i w tym wypadku bezpośred-nio po wywiadzie udałem się do Redakcji „Gło-su Lit.” i przedstawiłem jej wiernie naszą rozmowę. Redaktor zdecydował, że wywiadu nie za-mieści. Nie ze względu na formę, bo wywiad jesz-cze nie napisałem, („koleżeństwa gwary wojsko-wej” nie zdradziłem, nie użyłem jej bowiem jako pu-blicznego argumentu”) i nie ze względu na ujemną treść, lecz z braku obiektywnego ujęcia zaga-dnienia i wysoce megalomańsko-subiektywnego od-niesienia się do omawianego przedmiotu. Na tem stanęło; postanowiłem zawiadomić Pana telefonicznie o tem i przeprosić za zabieranie dro-giego czasu nadaremno, jednak nie mogłem Pana zastać w domu, a w krótkie potem sam wyjecha-łem na urlop. Tu chcę wyjaśnić nieporozumienie, które kładę na karb Redakcji „Głosu Lit.” Wy-wiad z Panem zamieszczony w numerze 13-14 „Głosu Lit.” w tej formie, w jakiej się ukazał, za-mieściła Redakcja „Głosu Lit.” bez mojej wie-dzy, podczas mej nieobecności i zresztą bez mego podpisu.

Czesław Boratyński.

WACŁAW
ROGOWICZ

HISTORJE
DOKUMENTY
NIEPODOBNE

WARSZAWA 1928

JAN
ZEGRZE

SZWAJCARSKIE
ZEGARKI
BIŻUTERJE
SREBRO
I PLATERY
NA DOGODNYCH
WARUNKACH

WARSZAWA
N. ŚWIAT 30
TEF: 9-56

DOM TOWAROWY
DEŁGA 50
TEL. 126-44

Na Raty

MATERJE KURSUNKNA
JEDWABIE CANOBUE

NAJTAŃSZE
ŻRÓDEŁO
UBIORÓW

Na Raty

WARUNKI PRENUMERATY: Z przesyłką do wszystkich miejscowości Polski mies. 1.50 zł; kwart 4.50 zł. — Zagranicą kwart. 2 dol. ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: UL. MŁYNARSKA 43 II p.

OGŁOSZENIA: 1 mm szerokości 1 szpalty (tłm 4-o szpaltowy) 40 gr. za tekstem, w tekście 50% drożej.

Red. J. PODHALICZ.

Konto czekowe P. K. O. 16380.

Drukarnia Techniczna Sp. Akc. Warszawa, Czackiego 3-5.

Tel. 204-96 Godziny przyjęć od 7—8 wiecz. codziennie oprócz niedziel i świąt

Wydawcy: J. PODHALICZ i W. WERNIC